

# XC OPEN - AUSTRALIA 2008

FLY AS FAR AS YOU CAN

## Sprzęt

Paralotnia: Skywalk Poison2

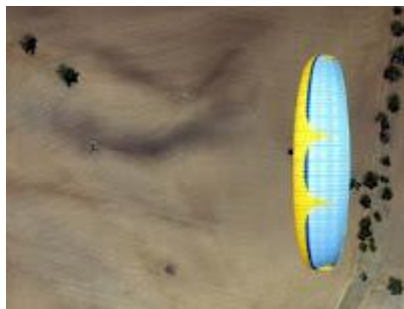
Uprząż: Advance iMpress2

GPS: Garmin 76S, MLR

Radio: Yaesu VX-2R



## Tytułem wstępu



Witaj.

Niniejszy blog to relacja "na żywo" z australijskiej edycji zawodów serii XC Open. Formuła imprezy jest bardzo prosta: nie ma punktów zwrotnych ani wyścigu, no chyba, że z czasem. Po prostu "Fly as far as you can".

Jedynie ograniczenia to umiejętności i odrobina szczęścia. Albo odwrotnie...

Tegoroczna edycja XC Open odbywa się w Australii już po raz trzeci. Zeszłoroczne zawody zapisały się jako wyjątkowe pod

wieloma względami. Fantastyczne warunki przelotowe, tragiczny wypadek chińskiego pilota rażonego piorunem czy graniczące z cudem ocalenie Ewy Wiśnierskiej po wyprawie w głąb Cb-ka.

Jadę tam po świetny trening latania połączony z rywalizacją sportową, próbą pobicia rekordu życiowego w XC ale ponad wszystko po wspaniałą przygodę po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Relacje z konkurencji będą więc przeplatane wątkami obyczajowymi. Jeżeli przytrafi się coś ciekawego na pewno nie zostanie tu pominięte.

## środa, 30 stycznia 2008

### Przygotowania i nowa zabawka - Skywalk Poison 2

Przygotowania wkraczają w końcową fazę. Wszystko co potrzeba właściwie już gotowe do wyjazdu 6 lutego. Jest tego trochę: wiza, samochód, mieszkanie, łączność telefoniczna (temat rzeka w Australii), ubezpieczenia itp. Teraz pozostało pozamykać bieżące sprawy w pracy tak, żeby przez dwa i pół tygodnia nic nie wierciło dziury w brzuchu i nie trzeba było zajmować się głupotami.

Nowy, szeleszczący sreberkiem od cukierków Skywalk Poison2 w rozmiarze S, do którego musiałem zrzucić kilka kg, leży i czeka cierpliwie aż przyjdzie jego kolej. Przyjechał na początku stycznia, dodatkowo sprawdzony przez konstruktora i pomierzony aby wyeliminować ew. niespodzianki na miejscu w Manilli. Niestety



pora roku nie sprzyja testowaniu nowych zabawek więc ważna jest 200% pewność, że z glajtem jest wszystko ok.

Kilka słów o tym sreberku. Jest to najnowsze osiągnięcie inżynierii w dziedzinie materiałów stosowanych do takich sportów jak nasz. Sreberko dlatego, że w strukturę tkaniny "wmontowano" cząsteczki aluminium aby zwiększyć odporność materiału na promieniowanie UV. To właśnie zastosowanie Al nadaje ten srebrny, metaliczny połysk. Ciekawe czy będzie ściągał pioruny? - tfu, tfu. ;-)  
Ponadto materiał jest bardzo lekki - zaledwie 29gsm. Cała konstrukcja wykonana jest z cienkiego Skytexu co pozwoliło zredukować masę glajta do 5kg w rozmiarze S (85-105kg). Jeżeli będzie tak latał jak wygląda to sukces murowany :-)

**środa, 6 lutego 2008**

### **Nicafe 24h do wyjazdu**

Rozpoczęło się finałowe odliczanie. Wygląda na to, że trzeba zabrać sporo gratów. Może nie starczyć miejsca na kanapki... ;-)



**czwartek, 7 lutego 2008**

### **Godzina zero**



Siedzimy w samolocie. Jesteśmy w komplecie - Przemek, Pietja i ja. Pietja odprawił się przez pomyłkę do Londynu zamiast do Sydney ale udało się "przeprawić". Przed nami 24h lotu z przesiadką w Londku i przerwą techniczną w Bangkoku.

### **Bangkok - przerwa techniczna**

Postój w Bangkoku. Większa połowa drogi za nami. Chwila na rozprostowanie nóg - rundka po lotnisku, chłopaki znowu poszli na robale i zaraz wracamy do naszej puszki na kolejne 8 czy 9 godzin. Odnoszę wrażenie że 747 jest ciaśniejszy niż A320, którym lecieliśmy z Warszawy do Londynu. Nasz samolot jest 100% pełny. Idę o zakład, że gdyby były miejsca stojące to chętnych by nie brakowało :-)





### Do Sydney

So far so good - siedzimy w samolocie do Sydney. Sprawdzaliśmy bagaże - lecą z nami. Moi kompani postanowili najeść się morskiego robactwa w lotniskowym barze. Bar jak bar - nawet fajny, z polską obsługą. Teraz czekamy na efekty. Na szczęście toaletę mamy tuż za plecami.

**piątek, 8 lutego 2008**

### Welcome to Oz - w końcu w Manilli



Jesteśmy w Manilli. Biuro zawodów w Klubie Kombatanta - można powiedzieć jak zwykle. Trochę się nam posypał plan transportu z Sydney. Od początku:

Przylecieliśmy o 40 min wcześniej niż przewidywał rozkład - czyli ok. Ogarnęliśmy auto. Na pierwszy rzut oka widać, że nie zmieści 7 gości z glajtami i bagażami. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Przemek z Pietją wybierają pociąg. Dzięki temu zmieszczą się pozostali. Przylatują za ok godzinę. OK, chłopaki pojechali na "Centralniak", żeby łapać pociąg do Tamworth podczas gdy ja mam przechwycić resztę grupy. Nie minęło pół godziny, dzwoni Przemek:

- Wracamy, czekajcie na nas. Nie ma miejsc w pociągu do Tamworth.

- ok, jeszcze nikt nie przyleciał, siedzę przy kawiarni (i próbuję właśnie poblogować ale bateria zdycha) - odpowiadam.



Po jakimś czasie jesteśmy wszyscy w komplecie. Nas trzech, 2 Słoweńców, Chorwat i Kacper, który doleciał z Cho Chi Minh City (Vietnam). Nie ważne jak dobrzy byłibyśmy w Tetrisa - nie upchamy tego wszystkiego w nasze Tarago. Autobus o 14-tej też odpada. W końcu bierzemy drugi samochód na 24h. W ten sposób zawieziemy się wszyscy do Manilli i jutro rano oddamy mniejsze auto w Tamworth (45km obok). Tarago wystarczy żeby pomieścić glajty ale nie bagaże.



W chwili gdy piszę tego posta jesteśmy zarejestrowani na zawody, podzieleni na zespoły, najedzeni i kompletnie padnięci. O smrodzie podróży nie wspominając. Ten ciągnie się za nami niczym welon komety Hale Bop'a czy jak mu tam. Oczywiście telefony nie działają tak jak powinny ale tego się akurat spodziewaliśmy.

O 20.00 czasu lokalnego rozpoczyna się Welcome Ceremony więc siedzimy w Klubie Kombatanta i w oczekiwaniu na imprezę próbujemy z trudem ustalić zwózki, częstotliwości. Po blisko dwóch nieprzespanych dobach trochę nam nie idzie ale przynajmniej wszyscy się starają. Jutro pierwszy task.

### **Kacper "Baby Face" Kowalski**

Ten wpis jest właściwie częścią poprzedniego bo dotyczy wypożyczenia drugiego samochodu ale z uwagi na powagę sytuacji postanowiłem go jednak nieco wyróżnić.

Wynajmujemy to drugie auto. Standardowa procedura. Tłumaczymy pani na czym polega nasz problem. Wszystko przebiega zgodnie z planem do chwili gdy proces wkracza w końcową fazę:

- Poproszę Prawo Jazdy

Kacper podaje dokument, dokłada, a jakże, Credit Card. Wszystko byle uniknąć Międzynarodowego Prawa Jazdy - ode mnie wymagali zachodziło niebezpieczeństwo, że i teraz tradycji stanie się za dość. Niestety, tym razem nie mieli byśmy czym uczyć. Zamiast "May I have your IDL, please" słyszymy te oto słowa (po Australijsku oczywiście):

- Czy masz więcej niż 25 lat - pyta pani?

- Tak, mam 30 - odpowiada Kacper

- Hmm, wyglądasz na dużo mniej

- Ach tak... ale mam 30, proszę oto moje ID

- Musiałam się upewnić. Masz taką "Baby Face"

He, he o to więc mamy piękne "baby", które bije rekordy XC, nie wylewa pod stół, włączy się samo po świetle i do tego jest szczęśliwym tatusiem. Ot 30-letni wybryk natury Kacper Baby Face. Sami oceńcie :-)



### **piątek, 9 lutego 2008**

#### **Task 1 a właściwie jego brak**

Dzień zapowiada się ładnie. Ani jednej chmury, trochę wieje. Jedziemy na górę. Porywy do 50km/h z N-NW. Decyzją organizatorów dajemy szansę pogodzie na uspokojenie. Zajeżdżamy do Manilli na piwo. Następny komunikat o 15-TEJ: W DALSZYM ciągu silny wiatr, konkurencja odwołana, jest szansa na wieczorny żagiel.





Kurde, dobry i żagielek bo przecież nawet nie miałem szansy wyciągnąć z wora nowej zabawki... oby...

Tarago nie daje rady pod górę. Trzeba pchać... W powietrzu są już pierwsze glajty.

W popołudniowym 2m kominie robię trochę ponad 2000m i z drugim Poisonem odchodzimy w stronę Oakhampton. Jakies zerka po drodze ale bez rewelacji. Późno i trochę wieje. Postanawiam wrócić po grani Mt. Borach nad start niestety wiatr nie wieje teraz prostopadle do zbocza i żagiel odchodzi do historii. Zostaje mi pastwisko po zachodniej stronie. Ci co byli wiedzą, że to kiepskie miejsce do lądowania - daleko od drogi i do tego trzeba objechać całą górę.



Brnąć przez metrową trawę gubię telefon CDMA. Jest to w zasadzie jedyny środek kontaktu. GSM nie działa. Wg GPS-a mam ok 28km do Manilli a potem jeszcze 11km na farmę :-)

Zaraz po wylądowaniu zameldowałem chłopakom gdzie jestem więc przynajmniej wiedzą, w którą stronę jechać. W między czasie zrobiło się całkiem ciemno. Milion gwiazd nad głową a dookoła mnie niesamowite odgłosy nocnego buszu. Nie do opisanego. Do tego absolutna czarność, tak czarna, że nie widać na wyciągnięcie ręki. Nagle słyszę sygnał przychodzącego SMS na GSM. Mam zasięg! skąd się tu wziął nie mam pojęcia ale skoro jest to trzeba skorzystać. Telefon do Przemka, koordynaty. Nie ma mowy nie ruszam się ani kroku dalej. Światło telefonu wabi chrabąszcze - giganty. Wielkość oceniam po odgłosie jaki wydają ich skrzydła - może ze 25Hz :-). Czekam tylko aż znokautuje mnie jakiś Kangur.



Dzień kończymy grillem. Mistrzem ceremonii jest oczywiście Przemek. Prognozy na jutro wyglądają obiecująco...

## niedziela, 10 lutego 2008

### Task 2 - miało być pięknie a wyszło jak zwykle



Noc zimna. Jak nigdy. O 6 rano termometr pokazywał 8 st. C. To naprawdę zimno jak na tutejsze warunki. W zeszłym roku musieliśmy używać klimatyzacji, żeby dało się spać. Teraz przydałby się piecyk.

Jesteśmy na górze ok 12-tej. Na wschodzie już działa. U nas - Cirrus. Wg prognoz za godzinę ta wilgotna masa ze wschodu ma być u nas i warun ma być trzaskający.

Mija godzina. Startujemy... i lądujemy po 10 minutach. Zmywa chyba połowę pilotów. Druga grupa kręci wysoko - wystartowali trochę wcześniej i wbili się w fazę. My też tylko nie w tą co trzeba.

Szybko wjeżdżamy na górę ponownie. Cisza. Brak wiatru i skwar. W końcu coś podwiewa. Wyjeżdżamy na 2050 m i odwijamy z wiatrem. Lecę z Kacprem. Nie jest źle ale też nie jakoś specjalnie. Lecimy w strefie, może nie noszeń ale chociaż mniejszego opadania. Mącimy coś w zerkach. Niebo całe pokryte Cs. Dziw, że to w ogóle jakoś działa.

Lato jest w tym roku bardzo mokre. Lecąc nad polami często są małe jeziora - znaczy się jest dość podmokło. To nie sprzyja tworzeniu termiki - nagrzewa się cały dzień ale zanim się nagrzeje to jest zimniejsze niż otoczenie więc nie działa.

Lądujemy wszyscy w tym samym miejscu. 22km od startu. Kilka osób poleciało ok 30km ale ciągle nie wiadomo czy wystarczająco dużo ludzi zrobiło min distance.

Zgrywamy GPSy w HQ, śmieszne dyskusje i analizy 20km lotów. Prawdopodobnie zabierają więcej czasu niż same loty. Porażka ale to nie nasza wina. To El Nino.

## poniedziałek, 11 lutego 2008

### Trochę o Poisonie



Co by tu napisać...? Lata od pierwszego razu tzn. wsiada się na niego i od razu wiadomo o co chodzi. Nie jest to tylko moja opinia.

Pierwsze co rzuca się w oczy, a raczej w nogi to lekkość z jaką działa speed. Wystarczy naciskać palcami. Nie ma mowy o drzeniu kolan. Lekkość działania idzie w parze ze stabilnością. Trudno powiedzieć dokładnie jaki jest przyrost prędkości ale z pobieżnie przeprowadzonych pomiarów Vmax to ok 58-59km/h. Glajt wręcz zachęca do używania beli.

Potwierdza się również opinia o łatwości startu, który porównywalny jest z Aspenem. Przy słabym wietrze końcówki trochę zostają z tyłu.

Porównując do Avaxa XC ogólnie chyba łatwiej się lata Poisonem chociaż w słabych kominach moim zdaniem Avax XC wspina się lepiej. Poison jest bardzo zwrotny i zdaje się mieć dużo energii. Być może za mocno ciągnę za sterówki a za mało pracuję ciałem - polatam jeszcze (mam nadzieję ;-)) i poprobuję różnych technik. Brakuje mi trochę trymerów ale pewnie się przyzwyczaję.



Podsumowując Poison 2 lata łatwo, lekko i przewidywalnie. Bardzo dzielnie radzi sobie pod wiatr. Doskonały speed system. Glajt pozwala koncentrować się na locie zamiast na sobie. Kilka razy miałem wrażenie, że w ogóle zapomniałem o nim podczas lotu. No i dodatkowo sreberko wzbudza spore zainteresowani na startowisku :-)

### Task 3



Odprawa.

W tej chwili na górze wieje 30km/h. Czekamy z wyjazdem na start jeszcze godzinę. Od jutra załamanie pogody. A w ogóle była...?

Najlepszy wynik z wczoraj 47km.

Wielki Cs przemieścił się na tyle, że wyszło trochę słońca i udało się ocalić konkurencję. Wiatr trochę lepszy niż wczoraj więc start przebiega sprawnie. Widać, że zaczyna działać. Niestety za krótko. Część pilotów odchodzi na trasę, część w tym ja też odchodzi ale na East Bombout - znaczy się zostajemy sptukani. Godzina w plecy. I to ta kluczowa.

Zaraz wchodzi kolejny Cs, cień i po wykręceniu 1800m odlatuje z wiatrem na zachód. Dalej podobnie jak wczoraj - zerka, zerka, zerka... gleba. 20km.

Ci co trafili w moment polecieci ok 50 - 70km.

Wyniki powinny być na <http://www.xcopen.org/>

Loty na <http://www.xccomp.org/>



### XC OPEN w TV

Wczoraj na starcie była ekipa TV, były wywiady, zdjęcia a wieczorem zobaczyliśmy siebie w lokalnych wiadomościach :-)

**wtorek, 12 lutego 2008**

### **Task 4 - deszczysko**



Dziś zgodnie z prognozą pada. Task cancelled.

W tej chwili Godfrey robi całkiem ciekawy wykład z meteo i przy okazji próbuje nas pocieszyć, że to pierwszy tak długi deszcz od 8 lat (nie licząc Worlds rok temu - odzywają się głosy z sali).

Na otarcie też nadzieja na lepszą pogodę jutro i wieczorne free bbq & live music

**środa, 13 lutego 2008**

**Task 5 - no, no...**



Padło prawie 20h ale rano budzi nas bezchmurna pogoda. Ziemia otrzymała sporą dawkę wilgoci więc należy się spodziewać niskich podstaw - ok 1500 - 1800m ok południa, później jakieś 2000m npm. Może popadać z niektórych chmur. Wiatr słaby z E i S.

Kolejna odprawa na starcie o 12.00. Polecimy ok 13.00.

Prognoza na następne dni wygląda całkiem nieźle. Nad Darwin tworzy się cyklon tropikalny, który nie powinien mieć wpływu na pogodę u nas. Dostajemy się pod wpływ mega wyżu z południa.

Tyle n/t zdjęć satelitarnych. Jak będzie naprawdę zobaczymy. Wszyscy tu potrzebujemy latania jak farmerzy deszczu. Oni dostali co chcieli teraz pora na nas.



**czwartek, 14 lutego 2008**

**Wyjaśnienie**

Numeracja tasków u mnie i u organizatora trochę się różni. Organizator numeruje tylko ważne taski, ja każdy dzień zawodów.

**Task 5 - uzupełnienie**

No i zadziałało. No, może nie wszystkim ale najlepszy poleciał 174km.

Było kilka stówek lub prawie stówek - w tym jedna nasza. 97km Grzeška Szafranskiego, skok za Bingarę. Start późny - chmury niby ładne ale nie ciągną. Wilgoć. Raz po raz grupka pilotów odlatuje i wraca nad górę. Startujemy późno żeby dać szansę warunowi.



Dość mocny wiatr zrywa termikę. Żagiel nad startem wydaje się nie mieć końca. W końcu udaje się oderwać od cya. Kacper leci 52km, Przemek łyka go o 1km. Ja głębiej na 10km. Pocieszenie, że wielu pilotów padło pod górką nie wiele pomaga. Syndrom Pesona?



Na koniec zostaję rażony prądem z elektrycznego pastucha. Co za dzień...

Grzesiek Olejnik zgarnia mnie z drogi i w ekspresowym tempie wracamy na start podjąć kolejną próbę. Na górze wieje do 40km/h, chwilami mocniej. Spóźniliśmy się 20 min. Ok 15:30 wystartował szef góry - Godfrey. Poleciał 95km.

Czekamy do zachodu fotografując kangury, które przyszły na startowisko. Zjeżdżamy bo wiatr nie słabnie.



W międzyczasie Pietja się pochorował i sieje na wszystkie strony. Jakoś się trzymamy ale czuć, że wystarczy jedno przechłodzenie żeby organizm się poddał. Mam dość antybiotyków na ten rok.

## piątek, 15 lutego 2008

### Task 6 - Classic Manilla Day



Wczesny start, ok 11:40. Podstawa na 1700m. Przez 10km idzie dobrze aż w końcu znikają chmury. Przede mną niebieska połać - ok 30km błękitnego nieba do Barraby. Mam do wyboru lecieć lewą stroną - tam robią się chmury ale nad górami mogą być opady lub spróbować dotrzeć do szlaków po prawej z przodu. Wybieram drugi wariant. Czekam w zerkach aż pojawią się jakieś kłaki. Słyszę, że chłopaki wystartowali. Radio mi trzeszczy więc wyłączam.

Metr po metrze przesuwam się w zaplanowanym kierunku. Jestem dość nisko a wiatr rozpędza kominy. Łapię się czego popadnie. W ten sposób doczłapuje do Barraby. Jeszcze dwie chmury potrzebuję żeby dolecieć do szlaków. Wygląda na to, że jestem jednym z niewielu, którzy wybrali ten wariant trasy. Lecę sam.



W końcu orzeł farbuję mi pierwszy prawdziwy komin, który zabiera mnie pod 60km szlak. Podstawa podniosła się na 2100m. Lecę nieco w głąb gór ale mając drogę w zasięgu dolotu. Sporadycznie dokręcam. Mijam Bingarrę od wschodu, Warialda w zasięgu wzroku.



Mam 130km i ciągle działa. Na radiu nikt nie odpowiada więc dzwonię, żeby się zameldować. Przede mną kolejna błękitna połąć. W dali po lewej wielka czarna chmura straszy opadem - dobrze, że tamtędy nie poleciałem. Jak się później okaże chłopaki z Karkonoszy musieli ją omijać i kosztowało ich to utratę kilometrów.



Staram się trzymać w pobliżu drogi co niestety wymaga lotu nieco w poprzek wiatru. Nie jest bardzo trudno ale mogło by być lepiej. O tej porze zaczyna działać teren - wielkie czarne pola wydają niczym piece, leci się w zerkach. Znowu orły pokazują pewne 2m. Jest ok 17:30. Na liczniku 155km. Lecę niezbyt wysoko, jakieś 1000-1200m npm czyli ok 600-800m nad ziemią. W końcu po 6 godzinach ląduje na 170,5km w linii prostej od startu. Życiowa.



- Zabrakło Ci 30 może 40 km żeby wylecieć z Australii - mówi Tom, właściciel baru stawiając mi browara - Queensland to już inny kraj. Australia jest tu w New South Wales.

Gdyby nie ta wielka błękitna połąć na początku poleciałbym zagranicę :-)

W drodze powrotnej otrzymujemy SMSa od organizatora, że pilot z Nowej Kaledonii nie zgłosił lądowania. Wszyscy nawołują przez radio - cisza. Ostatnio słyszano go nad Barrabą. To 40-ty kilometr a jest już ciemno więc albo lądował w dupie albo... poleciał 204km. Lądował po zachodzie słońca. Wszystko nosiło tak, że musiał schodzić spiralą.



W chwili gdy piszę tę relację jedziemy na odprawę. Tam dowiemy się więcej. Podobno Stefek Vyparina poleciał też dwie stówki. Podsumowanie dnia jest na stronie zawodów <http://www.xcopen.org/>.

PS

Ziółek - Jumbo obiecał kupić kapelusz ;-)

piątek, 15 lutego 2008

### **Task 7 - brak zdjęć**

Pogoda podobna do wczoraj ale trochę później się rusza. Do 12-tej brak chmur tam gdzie chcemy lecieć. Ludzie startują, padają lub kiwają się nad górką. Czekamy, raz po raz chodzimy na zachodni start żeby zobaczyć co tam słychać.



Podstawa na 1700m. Wszyscy kręcą przed górką, ja po swojemu lecę nad małą przełęczką na południu. Tam jest komin, który odchodzi z wiatrem na NW. Może być. Robię podstawę, spotykam tam resztę Skywalk Team-u i lecimy razem do doliny "lejkowej". To dolina na kierunku 285st od startu kończąca teren górzysty. Góry kończą się w charakterystyczny sposób. Tam zwykle zaczyna się kryzys. Tak było i tym razem. Dopada mnie na 1500m, znajduje mocny poszarpany komin, w którym wyjeżdżam prawie pod podstawę. Prawie - bo oprócz startu nie mogłem dokręcić dziś do sufitu.

Męka, męka i jeszcze raz męka. Lecę zboczami, kręcę jakieś zerka, jedyńki czasem czwórki - tak na 1/4 obrotu. No przecież nie poddam się jakiemuś głupiemu warunowi. Jeżeli tylko utrzymam się w powietrzu to wiatr zrobi resztę i zepchnie mnie kilka km.

Mija kolejna godzina. Wciąż walczę. Mam dosyć. Porzucam komin o wielu rdzeniach. Słaby i poszarpany wiatrem. Ziemia coraz bliżej. Wyciągam nogi do lądowania. Wszyscy wysoko.... Tandem idzie do góry ale mam do niego pod wiatr. Nie da rady bo wiatr ok 30km/h a ja nisko. Lecę nad mały kamieniołom. Działa. Komin łączy się z tym tandemowym i jedziemy razem w silnym noszeniu do niewidzialnej podstawy. Tak, jesteśmy w wielkim błękanie. Narrabri, 85km. Od tej chwili zaczyna się final glide. 150m nad ziemią łapię zerka, w których ciągnę jeszcze 10km.

Dolot do samego końca, zakręt 1m nad ziemią i lądowanie. 97,5 km po prostej od góry lub 106 zoptymalizowane. Przyjeżdża farmer. Zabiera mnie na wycieczkę po swojej posiadłości. 2500 ha pola - słoneczniki, kukurydza, pszenica. Prezentuje ciężki sprzęt rolniczy - chyba jego dorobek ale imponujący. Następnie wyznacza pracownika, który odwozi mnie 20km do Narrabri.

Bar. Piwko i fantastyczna australijska para, z którą kręciliśmy ostatni prawdziwy komin przed Narrabri. Wracamy razem do domu. Co za goście...

**sobota, 16 lutego 2008**

### **Task 8**

Kolejny dzień z chmurami płaskimi jak hamburgery. Startuję ok 13-tej i po 5 minutach top landing. Oficjalnie dlatego, że źle się wpiąłem. Prawda jest taka, że nie działa i nie chce dać się strącić. Skwar jest.



Drugi start za 15 minut. Mocna trójka do samej podstawy na 1800m i dalej jak wczoraj. Utknąłem w połowie drogi do lejkowej doliny. Przez dobre pół godziny nic się nie dzieje. 100m w dół, 100 w górę. Podlatuje grupa glajtów, robi się chmura i jedziemy dalej.

Lecimy w grupie. Fajnie działa. 15 glajtów. Super widoki. Trzeba robić zdjęcia ale baterie padły. Czekam aż wykręcimy do końca i zmieniam baterie. Trzepie, lecę trochę bezwładnie na warzywo. Peleton pociska więc tracę odległość. Jesteśmy jakieś 30km przed Narrabri. Zmieniłem baterie tylko obiekty mi odleciały. Do tego jestem nisko. Silny wiatr, prędkości 65-70km/h.



Mam jakieś 1500m gdy dopada mnie mega duszenie. Mam łękę do lądowania, taką dużą w razie gdyby przyszło lądować na wstecznym. Speed pod wiatr i nagle jak nie sieknie. Z dycha do góry. Zakręcam to jakoś, chwila, dosłownie 2 sekundy na złapanie oddechu i znowu. Robię w tym czymś jakieś 300m. Przy tym wietrze i buchających polach to ok 10km dodatkowej Jazdy.



Ląduję na +/- 85 kilometrze od Mt Borah z prędkości 60km/h. Grupa, z którą leciałem odlatuje z wiatrem. Zrobią pewnie ze 120 albo więcej jeżeli zaczepią się pod chmury. Zachciało mi się zdjęć.

Kacper przelatuje nade mną i ląduje u tego samego farmera co ja wczoraj. Mieli chłopaki zdziwienie gdy "złapali" kolejnego Polaka :-)

### **Z ostatniej chwili**

Jest 19:46.

Właśnie chłopaki z Karkonoszy zameldowali SMSem, że ciągle lecą!!! Słońce już zaszło. Są na 208 km.

### **Z ostatniej chwili c.d.**

Grzesiek Buławski lądował 213km w prostej linii od Mt. Borah

**poniedziałek, 18 lutego 2008**

### **I po zawodach...**

No i po zawodach ale próbujemy dalej. Wyniki na <http://www.xcopen.org/>

Dzisiaj wiało mocno, pełna bela i 5 - 6 km do przodu. Mega warun - wydaje się. Odlatuję od góry w 3 metrowym kominku. Podstawa. Dalej ciemno więc powinno ssać. Tylko pada i zerka z tendencją do zanikania.

Mocuję się z tym warunem jakieś 30-40 minut. Dolatuje do Boggabri Gap - siodło na kierunku 275 st. Nisko. Akurat tyle, żeby w miarę bezpiecznie przelecieć górki i poszukać czegoś na słonecznych stokach. Niestety to za nisko żeby dobrze zadziało do tego zawietrzna od góry. Wszystko razem równa się gleba. A warun na tej nizinie aż piszczycy. 38km.

Jutro (albo dzisiaj - zależy gdzie jesteś) dzień ostatniej szansy. Karkonosze Team zostaje jeszcze kilka dni żeby zapolować na rekord choć poprzeczka ustawioną mają wysoko.

Kacper z Pietją jadą do Sydney i Stanwell Park. Polatać i pooglądać.



**wtorek, 19 lutego 2008**

### **Ostatni dzień latania**

Wczorajszy dzień zapowiadał się niesamowicie. Na starcie wiało trochę mocno ale chmury były równe i nic nie wskazywało na silny wiatr w górze.

Podstawa na 1800m, lecimy w kierunku jak zwykle czyli na Boggabri Gap. Przed samym siodłem wybieramy różne drogi - Grzegorz na zachód, ja bardziej na północ. Lecę pod podstawą, momentami coś pokropi. Tnę z bocznym wiatrem w stronę doliny "lejkowej". Nie mogę odwrócić się z wiatrem bo po prawej mam las i mało chmur więc muszę się przemęczyć żeby jakoś go oblecieć (ten las znaczy się).





Przy wyjściu z "Iejkowej" prawie daję w głębę. W końcu po walce udaje się wyjechać na 2300m. Wkręcam się jakieś 150m w chmurę i daję z wiatrem. Ale co to, zmienił kierunek z E na S i teraz po drodze mi na północ.

Górą wchodzi gruby Cs, w oddali nad Narrabri zbiera się na deszcz, brak słońca. Lądowanie w Ban Baa - tzw. One Pub Town, 66km od Mt Borah

## Wracamy



Koniec. Jedziemy do Sydney. Jeszcze tylko 26 godzin w samolocie i przywita nas piękny szaro-bury krajobraz. Mam nadzieję, że zima zdechnie szybko bo wracać się nie chce.

Przydałoby się jakoś podsumować wyjazd. Wyniki są na stronie zawodów i mówią same za siebie. Mimo słabej pogody padły bardzo poważne odległości choć nie wszyscy mogą mówić o szczęściu. Tak bywa. Mnie udało się zrealizować plan minimum tj. przekroczyć 170km. Jechałem po 200. Pozycja względem zeszłego roku poprawiona. Ogólnie ok.

Trochę o ludziach bo Australijczycy zasługują, żeby poświęcić im kilka słów. Pietja miał podwózkę. Zostawił w samochodzie smycz. Farmer pofatygował się z tą smyczą na pocztę, wysłał ją poleconym do Godfrey'a z załączonym listem, że właśnie znalazł to w samochodzie, i że pewnie jest komuś potrzebne.



Inny przykład - jakoś tak nam wyszło, że znaleźliśmy się w Manilli bez auta. Nie ma problemu. Vicki z hotelu Royal dała nam swój samochód żeby podjechać 15km do domu. Oddaliśmy rano. itd, itd... można te historyjki mnożyć. Nie chce się wracać do zapyziałej Warszawy.

Za rok trzeba będzie powtórzyć :-)